№ 5. Warszawa, dnia 20 Stycznia (1 Lutego) 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

DWUDZIESTOPIĘCIO-LECIE

pracy literacko - pedagogicznej

HENRYKA WERNICA.

Kiedy niedawno jednemu z zasłużonych pracowników na niwie naukowej składano hołd za wieloletnie zasługi, odpowiedział, że nie trudno mu było pracować, bo go Bóg obdarzył zdrowiem, kochającą żoną, dobremi dziećmi, dał mu byt niezależny i łatwość w pracy. Naturalnie, skromność i takt włożyły w usta zasłużonego męża te słowa; nie zmniejszają one ani jego zasługi, ani dobrej i wytrwałej woli; wszystko to, co powiadał, umilało, ułatwiało mu tylko pracę. Słowa te jednak nasuwają myśli, że istotnie, gdy się rozpatruje nieraz nie wielkość dzieł dokonanych, ale wielkość wysiłków dla dokonania czynów, stanowiących zasługę, to trzeba przyznać, że są ludzie, których sile charakteru dość nadziwić się nie można.

O człowieku, którego zasługi naszkicować tu zamierzam, powiedzieć należy: los pozbawił go prawie wszystkiego, co ułatwia, uprzyjemnia pracę, a jednak człowiek tyle dokonał, że uwierzyć niepodobna, aby się to stać mogło śród warunków, w jakich pozostawał.

Ale nie odstępujmy od porządku chronologicznego.

Henryk Wernic urodził się w r. 1829, w Warszawie. Ojciec jego należał do rzędu bardzo zamożnych przemysłowców; dziecinne też lata naszego pedagoga przeszły śród dostatków i największej troskliwości około wychowania. W dwunastym, roku życia atoli utracił ojca, a chociaż zamożność domu przez to bardzo podupadła, to jednak staraniem zacnej matki (o której zawsze z największem rozrzewnieniem wspomina) otrzymał edukacyą, na jaką wówczas rodzinne jego miasto stać było. Ukończył naprzód szkołę prywatną, używającą największej wziętości, potem szkołę powiatową, a nakoniec gymnazyum I-sze.

Jeszcze w szkole powiatowej będąc, wszedł w bliższe stosunki z professorem jej Maxymilianem Łyszkowskim, później dyrektorem Gymnazyum realnego. Stosunki te wydały nader obfite owoce szczególniej wtedy, kiedy po ukończeniu szkół wypadło pomyśleć o samokształceniu się; wyższej bowiem instytucyi naukowej wówczas, prócz Szkoły Sztuk Pięknych, w Warszawie nie było, a środki materyalne na wyjazd do miast uniwersyteckich nie pozwalały. To też bogatej bibliotece Łyszkowskiego i światłemu jego kierownictwu zawdzięczał Wernic źródło kształcenia się. Z autorów czytanych w tej epoce na wrażliwy umysł młodzieńca najwięcej oddziałał Trentowski: upajał się (jak często o tem wspomina), wraz z całą ówczesną młodzieżą, jego dziełami.

„Chowanna" wzbudziła w nim zapał i miłość do zawodu nauczycielskiego tak, że porzucił drogę, na którą pierwotnie był skierowany,—mianowicie służbę w Zarządzie kommunikacyi lądowej i wodnej—i oddał się pracy pedagogicznej. Wkrótce złożył egzamen w b. Komitecie Egzaminacyjnym i został powołany na nauczyciela języka polskiego i geografii, po Tymoteuszu Lipińskim, w szkole realnej. Tu otwarło się szerokie pole dla młodego pedagoga; to też pracował z zapałem, przeplatając pracę nad uczniami — studyowaniem przedmiotów, które wykładał, oraz metody ich wykładu. Tak upłynęło mu lat sześć, gdy zdrowie zaczęło się domagać poratowania: musiał więc opuścić Warszawę i szukać zajęcia w korzystniejszych dla zdrowia warunkach; i przyjął niebawem obowiązki nauczyciela w domu hr. Cz. w Podolskiej gub. Wiejskie powietrze, wygody życia przywróciły równowagę w Wernica zdrowiu; w domu hrabiego znalazł wiele źródeł do dalszego kształcenia się, a nadto w gospodarzu — światłego przewodnika w nauce i serdecznie życzliwego opiekuna.

Wkrótce szczególny zbieg okoliczności pomógł mu do poznania szerszego świata: wyjechał do Paryża, a potem do Londynu. Pobyt paroletni w ogniskach życia umysłowego wywrzeć musiał bardzo korzystny wpływ na jego umysł, ruchliwy' chciwy wiedzy. Bawiąc w Londynie, wszedł Wernic w stosunki ze światem pedagogicznym i otrzymał wezwanie od p. Adams'a do współpracownictwa w jego szkole, znajdującej się w pobliżu Bentwood. Sprawy rodzinne jednak zmusiły go do powrotu do kraju.

Nie pozostawał tu przecież długo; zniewolił go bowiem hr. Cz., aby przyjął kierownictwo nad wychowaniem jego bratanka, przebywającego w Dreźnie.

Jedzie więc do Drezna i tam przebywa lat 6, gdzie chwile wolne od obowiązków poświęca na studya, i gdzie ma sposobność słuchać wykładów znakomitych profesorów, uczonych i literatów.

Tu też (1868) wydaje pierwszy owoc zdobyczy umysłowych i pisze „Przewodnik wychowania."

Cierpienie oczu nie pozwoliło mu atoli prowadzić nawet korrekty tej pracy; wkrótce ociemniał. Uderza też weń cios drugi: traci niedawno poślubioną, ukochaną żonę. — Nieszczęścia te są zarazem momentem, od którego datuje się dwudziesto-pięcioletnia praca jego na polu literacko-pedagogicznem. W pracy pożytecznej dla współaraci szuka ukojenia cierpień, a zdobył tyle wiedzy i doświadczeń, że ma się czem dzielić obficie.

Owoce też prac jego na niwie pedagogicznej bogate i gdybyśmy zebrali tylko artykuły, rozsiane po pismach peryodycznych: — „Opiekunie Domowym," „Przeglądzie Pedagogicznym," „Kronice Rodzinnej," „Bluszczu," „Wieczorach Rodzinnych," „Przyjacielu Dzieci" i t. d., byłby to plon obfity, dający prawo zaliczenia Wernica do grona

zasłużonych sprawom wychowania; a cóż dopiero — gdy dodamy do nich prace wydane oddzielnie, a bardzo poważne zajmujące miejsce w literaturze pedagogicznej! Oto ich poczet: Przewodnik wychowania, Nauka o rzeczach, Wychowanie dziecka do lat sześciu, Pierwszy rok nauki systematycznej, Metodyczna gramatyka języka polskiego (składnia), Metetoda języka francuzkiego, Praktyczny przewodnik wychowania, Elementarz ułatwiający naukę czytania, Pierwsza książeczka do czytania, Druga książeczka do czytania, Trzecia książeczka do czytania, Pogadanki o życiu.

Przekłady: Fizyologia i hygiena (z angielskiego), Dzieje ziemi Scatlera, Nauka rysunku Flinzera, Początki psychologii Murray'a, O moralności Giżyckiego (z niemieckiego), Dydaktyka Komeńskiego (Lindnera), Apostołowie pracy (z angielskiego).

W rękopiśmie posiada Wernic: Łatwa gramatyka języka polskiego, Elementarz francuski.

Ze spisu tego widzimy, ze Wernic opracowywał różnorodne kwestye pedagogiczne, — głównemi jednak jego przedmiotami są: wychowanie i nauczanie *początkowe*, (gałąź przed nim nader mało u nas uprawiana), wychowanie moralne, a w części i fizyczne,—metodyka języków -geografii.—Studya nad psychologią, oraz wieloletnia praktyka nauczycielska, poparta ciągłą pracą nad zdobyczami naukowemi w pedagogii, sprawiły, że wszystko, co wychodzi zpod pióra Wernica— odznacza się gruntowną znajomością rzeczy.

A prace te odznaczają się jednym jeszcze nader ważnym przymiotem w naszych stosunkach: są nader przystępnie wykładane.

Śmiało też powiedzieć możemy: żaden z dzisiejszych pedagogów nie położył większych zasług na polu piśmiennictwa pedagogicznego nad Henryka Wernica, chociaż trudno wyobrazić sobie cięższe warunki nad te, jakiemi go losy wyposażyły.

A jakimże jest Wernic w życiu, w stosunkach prywatnych?

Ma dwie wady: zbyt pobłażliwy dla innych, i zbyt skromny. Wpływa to i na działalność jego literacką, kiedy pisze krytykę (nie zbyt to lubi) to dobre strony uwydatnia, złe lekko zaznacza. Kiedy udziela rady, to tak nieśmiało, jakgdyby sam sobie nie ufał. Takim jest i w życiu prywatnem. To też nigdy nie słyszysz, aby się na losy użalał, lub kogoś potępiał. Brzydzi się tylko ludźmi obłudnymi, oburza się na nich; rzadko go atoli schwycisz, aby kogoś tą wadą napiętnował; potępia on tę wadę tylko, oburza się, nie wymieniając osoby, która nią się odznacza. Najczęściej słyszysz jednak dobre słowo o ludziach, albo usprawiedliwianie wad ich charakteru. A już, gdy Wernic posłyszy o czyjejś trosce, porywa się, biegłby natychmiast by nieść pomoc i radę, a przynajmniej pociechę.

Jaki stan jego duszy w samotności — trudno wiedzieć: ale w towarzystwie najczęściej pogodny, wesoły, żartobliwy, pełen otuchy. W obejściu — odznacza się wysoką delikatnością, dystynkcyą, wysokiem poczuciem godności osobistej, poszanowaniem jej w innych.

Czerstwość zdrowia zawdzięcza nader systematycznemu życiu: praca, przechadzka (niezbędna)— rozrywka towarzyska, (zbyt rzadka) spoczynek— wszystko to w ścisły regulamin ujęte.

To też—kto zna Wernica,—ile razy go spotka, musi sobie powiedzieć: „Boże, więc ja mogłem na losy swoje wyrzekać, kiedy ten człowiek żyje bez skargi!

„Ileż ja zrobić byłem powinien dla ludzi, kiedy on tyle dokonał!“ A dalej snują się myśli: „Więc praca, li tylko praca — może wypełnić życie; więc czystość sumienia i miłość ludzi—są przyczyną tego zadowolenia, tej pogody duszy, jaka jaśnieje na obliczu tego człowieka, bo innych przyczyn nie znajdziesz.“

F. Łagowski.

POGAWĘDKA

Karnawał trwa w całej sile — tańczymy od nocy do świtu, dopóki nie nastąpi zupełna cisza — postu. Wynagradzają sobie ludziska jak mogą tę krótkość karnawału, żenią się na gwałt, po dwie naraz pary przed ołtarz stają, a „trum-dryl“ brzmi tak dobrze z frontowych okien pierwszego piętra jak z zapadłych suterren kamienic zamiejskich. Jeżeli maskarady niezupełnie się udały,—nie dla braku tłumu lecz - dowcipów (dowcipnych ludzi coraz mniej mamy)—za to bale pochwalić się mogły niezwykłem ożywieniem i oryginalnością pomysłu. Do takich należał bal „żywych kwiatów“ (oczywiście, że koncept przybyły do nas z nad Sekwany, ale dobry — bo co z Paryża to dobre być musi—taka już nasza natura!) — bal, na którym każda główka niewieścia stanowiła kwiat jeden, pełen barwy i woni, kwiat stokroć piękniejszy od znanych dotąd przez nas. bo sam się poruszał, uśmiechał, srebrnem słówkiem zadzwonił, może niejednemu czar rzucił do serca lub ostrą strzałką je przebił. Już to zbrodni podobnych nie mało ten karnawał mieć będzie, a czwartkowy (29 Stycznia) bal w ratuszu, gdzie same kwiaty tańczyły, gdzie lilie i niezapominajki rzucały się w męzkie ramiona, dwie duże szczerby zostawi po sobie, bo niejedno serce ucierpi i kieszeń niejedna smętną pustką powieje. Że Amor znużył się, o tem naocznie się przekonałem. Spotkałem biedaka, jak umykał z sali ratuszowej przez skwer i schował się za filarami teatru. Kołczan miał opróżniony, czoło zroszone kroplistym potem, a od fatygi zaledwie mógł oddychać ten nicpoń mały.

— A ruszaj mi zaraz, zkądeś przybył!—zawołałem, wiedząc, że tam, na sali, oglądają się za nim ci i te, których skrzywdził.

— Nie mogę, serdeńko, odpowiedział — nie mogę!—I mnie miłe jest życie...

— Zmachałeś się tak?..

— O jej — wyjęczał... Wyrzuciłem wszystkie strzały, wszystkie, jakie nawet w zapasie miałem, a tu zewsząd wołanie słyszę: jeszcze! jeszcze!.. W błyskawicznej strzelaninie, wypadkiem — klnę się na rodzicielkę moją, piękną Wenerę — uraziłem nawet jakiegoś starego emeryta, który stał sobie spokojnie pod żerandolem i tabakę zażywał. Teraz i ten ręce wyciąga do mnie i chodzi z myślą jakiejś serenady, którą z wiosną pod oknem swojej wybranej ma zaśpiewać. Co to będzie, co to będzie? Oj, będę miał co robić, gdy się takie małżeństwo skojarzy! — Z buduaru pięknej pani nie wyjdę, strzał nie nastarczę, a mój emeryt przeklnie chwilę zapomnienia się.

— Cóżeś narobił, bezbożniku?—zawołałem.

— Wypadkiem — klnę się na rodzicielkę moją, piękną Wenerę, że wypadkiem! — płakało płaczem udanym przebiegłe chłopię.

Po chwili spojrzał na mnie zukosa, i zapytał:

— A ty—idziesz na bal?..

Poruszyłem przecząco głową...

Malec się zasępił — poruszył się niechętnie i w tej chwili zauważyłem za przepaską dobrze ukrytą strzałę...

— A zdrajco! — zawołałem...

Frunął mi nagle i wionął w stronę ratusza.

Posłyszałem zdwojone okrzyki, wybuchy radości z powodu celnego strzelca, który znów miał kołczan na sobie pełen strzał ostrych i — jak słyszałem—awantury wyprawiał.

Nie bawią się u nas bez celu, a cel uświęca środki. Cóż robić, gdy już inaczej być nie może, gdy filantropia jest tak ściśle związana z miarowym podnoszeniem i opadaniem nóg?

Bal dla dzieci znajdujących się w szpitaliku przy ulicy Alexandrya jest może jednym z najsympatyczniejszych, właśnie dla swojego celu. Kryją się w tym szpitaliku dzieci ubogich rodziców, którzy, chore maleństwa swoje oddają pod nadzór jego. Szpitalik ten istnieje już od lat 25, a w ciągu tego czasu korzystało z dobrodziejstw zakładu 18.341 chorej dziatwy. W ubiegłym roku, według podanych wiadomości w dziennikach, leczyło się w nim 1325 dzieci, a pomocy lekarskiej w ambulatoryach udzielono 16.016 chorym. Wymowne te liczby świadczą same przez się, że zakład oddaje rzeczywistą przysługę społeczeństwu i że zapominać o nim nie trzeba, tembardziej, że szpitalik utrzymuje się głównie ze środków prywatnej dobroczynności i nieraz, gdy te wyczerpane zostaną, kołatać musi do ofiarności publicznej.

Jest to może jedna z najmniej natrętnych instytucyi. Raz tylko się do roku odzywa i to w czas karnawałowy, gdy nogi ocierają łzy biednym i rzucają na barki wynędzniałych ludzi jakie takie okrycie. Dlaczego i szpitalik nie mógłby korzystać z tego usposobienia ogółu i odezwać się:

— Potańczcie i dla mnie!

Ha! tańczcie, gdy już inaczej być nie może.

Powiew szału, jakim ogarnął Warszawę krótko trwający karnawał, nie wszystkim umysły tak dalece pochłonął, nie wszystkim tak doszczętnie kieszenie wypróżnił, ażeby już całkiem zapomniano co się dokoła dzieje i straciwszy grosz na strój przesadzony, nie miano już go na nic innego. Zaprzeczyć temu może licytacya w Salonie artystycznym. Bardzo wiele dzieł sztuki sprzedanych zostało, szczególnie cieszyły się zakupem prace: Andriollego, Brodowskiego, Goleńskiego, Gościmskiego, Kostrzewskiego, Mucharskiego, Stankiewiczowej i Stasiaka, jakkolwiek i inni poświęcający się sztuce malarskiej na amatorów nie narzekają wcale. Wystawione przedmioty sztuki stosowanej miały także zbyt nie mały; kupowano też chętnie wyroby z drzewa malowane ręcznie, jako też porcelanę, materye jedwabne i t. p.

Nie tylko samo istnienie, ale wzmagający się z rokiem każdym rozwój Salonu artystycznego, dobrze świadczy o głównych jego opiekunach, jako też jest znakiem wymownym, że zamiłowanie naszego ogółu do sztuk pięknych, trwające od dość dawna w zwiększającej się wciąż mierze — nie jest wypadkiem chwili, przejściową jakąś maniją, ale zrozumieniem potrzeb wyższej nieco natury, gdzie już estetyka o swoje upomina się prawa, o duch z powijaków się rozwija i pragnie właściwego sobie pokarmu. Skromnie, lecz estetycznie dom urządzony, pokój, w którym lubimy najczęściej przebywać, najznaczniejszą część dnia spędzać—jest odbiciem nas samych, naszych upodobań, zatrudnień, nieraz myśli nawet, które nieznane przez nikogo, w chwilach dumań samotnych, przesuwają się nam przez głowę. Przed okiem uważnego badacza zdradzamy się częstokroć sami, nie wiedząc nic o tem. Często zdumiewa nas zdanie trafnie wypowiedziane o osobie mało znanej; nie jasnowidztwo to jest jednak—lecz niedyskrecya ścian, mebli, nic nieznaczących napozór drobiazgów nawet, które mówią o swoim właścicielu i najnikczemniej go zdradzają. Zdrajcami otaczamy się sami, dobrowolnie, choć mimowoli; potrzeba duszę, serce i umysł wykształcić, ażeby zdrada ścian naszego mieszkania nie była dla nas niemiłą.

W rozwoju wszecheuropejskiego malarstwa dzisiaj, w rzędzie rodzajów, jakim hołdowała i hołduje sztuka, obrazy religijne bardzo podrzędne znajdują miejsce.

I nie dziw!

Potrzeba głęboko wierzyć, ażeby stworzyć taką Madonnę Syxtyńską lub Wieczerzę Pańską. Nic tu nie pomoże doskonałość kolorytu, niezrównana technika artysty. Będziemy mieli obraz piękny, a choć na nim zobaczymy Dzieciątko Jezus, lub Zbawcę świata umierającego na krzyżu—nie będzie on jeszcze obrazem religijnym, w podniosłem znaczeniu tego wyrazu. Nieśmiertelna prawda, tchnienie nieskończoności z ram jego nie wyjrzą, jeśli Duch Boży nie spocznie na czole malarza. A zkąd wziąć tego Ducha Bożego w wieku niewiary lub łamań się różnych? Rozmodlony świat stworzył wspaniałe łuki katedr gotyckich, głęboka wiara Rafaela d'Urbino ziemskiemu ciału nadała urok boskiej piękności. Dziś świątynie posiłkują się dawnemi wzorami, malarzom. Upadło

malarstwo religijne i nie prędko może z tego upadku się podźwignie.

Wrażenie, jakie wywarły na krytyce zagranicznej obrazy Piotra Stachiewicza, zatytułowane: „Legendy o Matce Boskiej“ miałożby być dowowem, że przebudzenie się już nastaje i religijne malarstwo upomni się o przynależne sobie miejsce?

Jak będzie — przesądzać niepodobna, krytyka niemiecka, widząc ten cykl obrazów Stachiewicza na Monachijskiej wystawie, nie może znaleźć słów gorącej pochwały, uwielbienia nieraz, nieraz podziwu. Jedni malarza naszego nazywają „niezrównanym“ inni „doskonałym“ inni wprost „genialnym.“ Tygodnik *Academica*, mówiąc o szeregu „Legend o Matce Boskiej,“ uznaje takowe za skończone dzieło twórczego geniusza, samoistne zupełnie, w którem malarz nie oglądał się na żadne szkoły, na żadne przepisy, lecz ma swój własny styl, czerpał wszystko z ducha własnego, opromienionego natchnieniem bożem.

Do tych słów matadorów krytyki nie myślimy nic dodawać.

Cykl Legend o Matce Boskiej, nie długi zdaje się czas jeszcze będzie na wystawie u Krywulta w Europejskim Hotelu. Kto go nie widział, niech pośpieszy. Upewniam go tylko, że się skąpie w czystem źródle prawdziwej poezyi, bo Panna Najświętsza, występuje tu często jako kobieta z ludu, np. rozwieszającą w ogródku świeżo co upraną bieliznę swojego synaczka, który u stóp Jej na ziemi spoczywa, nagie, jakiem to często bywa dziecię wioski. Cudowne są te „Legendy“ cudownie pojęte, cudownie odmalowane. Poeta ma tutaj niewyczerpany skarbiec fantazyi, obrazy same pod pióro się proszą, myśl odbita od ziemi z zamiecią gwiazd „Wniebowzięcia“ unosi się w krainy wieczystego, słodkiego spokoju.—Raz jeden oderwać się od powszedniości życia, raz jeden skąpać się w atmosferze światła i ciepła—oto zadanie godne mistrza.

Tę chwilę zawdzięczamy Stachiewiczowi i doznanemi wrażeniami dzielimy się z wami, łaskawi czytelnicy.

Dlaczegóż nie mogę zakończyć pogawędki z wami, jakimś dowcipem wesołym, albo nowiną dobrą, któraby wam nie straciła z ust uśmiechu i niczem spokojnych, a może rozbawionych myśli waszych, nie zamąciła? Ale przypominamy sobie w tej chwili słowa ostatniego z Horeszków do Telimeny zwrócone: „Na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem.“

Tu dzwon posępnym jękiem zwiastował nam zgon Antoniego Józefa Rollego, sumiennego badacza przeszłości, i doktora medycyny, który na tych dwóch polach niełatwo zatartemi zgłoskami imię swoje zapisał. Po 38-letniej pracy, której rezultatem jest kilkanaście tomów samych opowiadań historycznych, d. 21-go b. m. w 64 roku życia zmarł w rodzinnem mieście swojem Kamieńcu Podolskiem, gdzie najznaczniejszą część studyów swoich dokonał. Studya lekarskie odbył w uniwersytecie Św. Włodzimierza w Kijowie, poczem się przeniósł do Niemiec dla badań psychologicznych, a w r. 1860 słuchał wykładów medycyny w Paryżu. Prace jego z tej gałęzi wiedzy: „Choroby umysłowe“ i „Materyały do topografii lekarskiej gubernii podolskiej“ zjednały mu uznanie wśród ludzi uczonych, a prace historyczne, jakim ze szczególnem zamiłowaniem się oddał — miłość ogółu. Długo miasto jego rodzinne żal w sercu będzie nosić po zacnym człowieku, dobrym lekarzu i nie małej miary uczonym.

ꝓ

PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Chcesz być aktorem? — zapytała go smutno matka, głos jej drżał.

— Nie wiem, nic jeszcze nie wiem.

— Ojciec marzył, że skończysz prawo, że będziesz kiedyś adwokatem, posłem, że się ożenisz; albo że zostaniesz sędzią — a może i prezydentem. Byłby to dla niego cios.

— A dla mamy?—zagadnął trzymając jej rękę w swej dłoni.

— Dla mnie, moje dziecko? — ja tylko pragnę, abyś był szczęśliwym.

Nic nie chcę dla swej próżności, dla siebie. Bądź szczęśliwym i zadowolonym z życia.

— To będę!—zawołał radośnie. Ujął rękoma głowę matki, pociągnął ku sobie i zaczął ją tulić i całować.

— Co tam zaszczyty! — szeptał jej do ucha wobec szczęścia i zadowolenia.

Zwyciężona, głaskała go delikatnie po twarzy i całowała w białe czoło.

— Goniąc za zaszczytami, zmęczę się, stracę młodość, zdrowie i zwiędnę. Szkoda życia. Mamusiu, szkoda życia.

— Czyś już postanowił? — spytała przestraszona.

— Nic, nie postanowiłem. Czyż ja wiem, czy mam talent.

— Jeżeli go nie mam, pocóż się męczyć i zawadzać tym, którym go Bóg dał?

— Prawda, poświadczyła skwapliwie. Zkądby się talent u ciebie wziął, moje dziecko? Ja nigdy w życiu nie deklamowałam, ojciec prawie że nie był w teatrze. Powiem ci prawdę — wierzę, że możesz być czemś więcej, niż aktorem.

Chłopak zamilkł. On, który aktorów uważał za chwałę narodu, ich stanowiska za najzaszczytniejsze w świecie, usłyszawszy z ust własnej matki lekceważenie tego stanu, uczuł się dotkniętym i zgnębionym.

— Gdybym został aktorem,—odezwał się smutno — to może mama wygnałaby mnie ze swego domu i przeklęła.

— Ależ co też ty pleciesz, Józiu?!—Prawda, że wolałabym cię widzieć radcą, mecenasem, posłem, niż aktorem. Lecz jeżeli takie jest przeznaczenie...

— Mama schyla głowę tylko przed przeznaczeniem.

Niech mama nie schyla: nie będę aktorem.

Uszczęśliwiona matka pocałowała syna w usta i ująwszy twarz jego w dłonie, dodała pro mieniejąca:

— Ubierz się, trzeba przecie iść do babci. Prosiła nas dziś na obiad. Damy znać do biura ojcu, aby za nami przyszedł.

Babka cię kocha i zdaje się jej, że ty Bóg wie czem nie zostaniesz....

Gdy się tylko za matką drzwi zamknęły, wyskoczył z łóżka. Zimną wodą oblał głowę i twarz.

— Zkąd ja mam mieć talent?—rozmyślał. Syn cichej kobiety i ojca, który całe życie liczy długi miasta.... Boże, zkądże mnie mieć talent?!....

Zatrzymał się, podniósł rękę w górę i zaczął deklamować monolog Mazepy.

Przestał, wsłuchując się w muzykę wypowiedzianych wyrazów.

— Przecież powiedziałem z uczuciem i siłą. Dusza w tem była, głos mi drżał, wyrazy wybiegały jak kamienie rzucane na szaniec. Czegóż więcej mam pragnąć sam od siebie?!...

Ja—aktorem, gdy mi nogi ze wzruszenia drżały chodząc po scenie? Ja—aktorem ze swoją deklamacyą wobec wczorajszego Otella?...

Boże, a jednak cobym za to dał, gdybym mógł być Otellem, takim jak wczorajszy!..—Wyszedł do jadalnego pokoju. Stefa patrzała na niego gniewnie, matka z miłością.

— Przyjdź koło pierwszej po nas, pójdziemy razem. Stefa ma śliczny kapelusz; nową sukienkę uszyłam jej sama.

— Przychodź, latawcze—zawołała za nim na schodach obrażona Stefa.—Cały dzień w mieście, matczysko tęskni, ojciec smutny....

— Wrócę,—odpowiedział,—aby się zachwycać twoim nowym kapeluszem. Do widzenia!

Prawie bezwiednie pociągany siłą poszedł plantami w stronę teatru.

Przy wylocie ulicy Floryańskiej dostrzegł biegnącą naiwną. Zarumieniony jak wiśnia, przystanął i skłonił się.

— Spóźniłam się na próbę, rzekła żywo. Odprowadź mnie pan.

Uszczęśliwiony poszedł z nią. Rad był, aby go wszyscy koledzy widzieli.

— Słyszałeś pan wielką nowinę teatralną — szczebiotało dziewczę — sławna artystka przyjeżdża z Warszawy! Widziałeś ją pan?

— Nigdy!

— No to się ciesz — zobaczysz ją za parę dni. Zostaniesz zachwycony, oczarowany, olśniony! Na żadną z nas nie spojrzysz nawet. Mówiąc to, przeszyła go wzrokiem.

Chłopak milczał, nie wiedział co odpowiedzieć, nie miał wyobrażenia o flircie.

Z Jagusią szło mu łatwiej i śmielej... Lecz cóż Jagusia wiejska dziewczyna, a naiwna wielka artystka!

— Jutro występuję w nowej sztuce, trudną mam rolę, lecz szlachetną. Może młodzież nie zapomni o mnie.

— Ależ młodzież za panią przepada i przyjmie panią z uniesieniem.

— Dziękuję panu. Nie masz pan pojęcia, jak nam potrzebne do rozwoju talentu oklaski, uznanie, zapał! Przekonasz się o tem sam niedługo.

— Czy ja koniecznie mam być aktorem? — zapytał.

— Z oczu pana patrzy, że nim będziesz. Widocznie takie już pańskie przeznaczenie.

— Z moich oczu?—powtórzył zdziwiony.

— Z pańskich oczu widać talent. A gdy jest talent, zagrzebywać go grzech, a może i zbrodnia.

— Zdaje mi się, że pani ze mnie żartuje.

— Dziecko z pana.

Naiwna zatrzymała się u wejścia do teatru.

— Może pan masz ochotę pójść na próbę?

— Szaloną, lecz nie śmiem, boję się.

— Chodź, umieszczę cię w kąciku i bylebyś tylko siedział cicho, zobaczysz wszystko, a nikomu nie będziesz przeszkadzał.

U wejścia Józio się zawahał.

— Śmiało, śmiało, wiedz pan, że za kulisami co ja chcę, wszyscy tego chcą.

Uwierzył, usłuchał i poszedł.

Naiwną przyjęto sympatycznym szmerem. Feliksiewicz na powitanie wyciągnął rękę do Józia. Sekretarz uśmiechnął się do niego łaskawie.

— Przyszedłeś? — szepnął mu stary aktor. — Byłem tego pewny.

Chłopiec nic nie odpowiedział.

— Naiwnej zdaje się, żeś ty za nią przyleciał. Zostaw ją, niech się jej tak zdaje. Nic nie stracisz na tem...

Reżyser klasnął w dłonie.

— Akt drugi, zaczynamy.

Sufler wsunął się do budki, rozłożył egzemplarz i uderzył ręką o podłogę.

Naiwna stanęła na scenie, przy niej pierwszy amant; zaczęła się próba pod okiem reżysera siedzącego z boku przy stoliku, z drugim egzemplarzem granej sztuki.

Józio, stojąc w płóciennem oknie kulisy, wytężył wzrok i słuch. Każdą uwagę reżysera pojmował w lot; zdawało mu się, żeby ją z łatwością wykonał....

Gdy powtarzano sceny po kilka razy, miał ochotę wypaść i pokazać jak on-by to zrobił...

— Napozór zdaje się, że to łatwo--szepnął mu Feliksiewicz— lecz probując, widzi się tę wielką trudność, którą tylko potężnym talentem pokonać można. Przekonasz się wtedy, gdy sam zaczniesz.

Chłopak milczał, zapatrzony w grę naiwnej, któ ra z łatwością i wdziękiem zwyciężała trudne sytuacye: Ciężej było z innymi... Reżyser ciężko pracował, uczył, pokazywał. Pracował nad nim reżyser ciężko, że Józio zaczynał się denerwować brakiem ich pojętności.

Po skończeniu trzeciego aktu naiwna przywołała go do siebie.

— Skończyłam swoje, — szepnęła— odprowadź mnie pan. Wracać samej nudno. Chłopiec pochwycił za kapelusz; wyszli. Na ulicy owiało go rozkoszne ciepło, rozradowało światło dnia jasnego.

— Dobrze będę grać tę rolę?—zapytała pieszczotliwie.

— Ależ świetnie! — zawołał.

— A mimo to, gdy przyjedzie amantka z Warszawy, ją tylko będziecie oklaskiwać, ją będziecie wywoływać, jej schlebiać, za nią przepadać... Ja będę zapomniana przez wszystkich, opuszczona...

— Nie—przerwał poważnie Józio—nigdy! My panią ubóstwiamy. Pani jedna jesteś dla nas najsympatyczniejszą postacią na scenie.

— A dla pana czem jestem poza sceną? — spytała żartobliwie.

— Czem?—powtórzył cicho,—nie wiem,—może wszystkiem.

Dziewczyna udała, że nie słyszy ostatnich wyrazów, lecz uśmiechała się czarownie, była serdeczną, przyjacielską.

Stanęli przed bramą domu mieszkania artystki.

— Wstąpisz pan na chwilkę do mnie odpocząć?

— Pani—szepnął zakłopotany.

Weszli w bramę.

— Jestem głodna jak wilk w zimie.

Biegła po schodach za nią Józio wzruszony i szczęśliwy.

Z przedpokoju weszli do malutkiego saloniku. W rogu stało wielkie lustro przystrojone we wstęgi od wieńców odebranych na scenie. Na stole przed ubogą kanapką rozrzucone książki i fotografie.

— Odpocznij pan, za chwilkę zawołam pana do jadalnego pokoju.

Józio został sam. Zachwycony salonikiem przypatrywał się rozwieszonym po ścianach akwarellom naszych artystów. Ubogo było, lecz schludnie i przyjemnie. Odczuwało się mieszkanie młodej, artystycznej duszy.

— Proszę pana—rozległ się srebrny głos z drugiego pokoju.

Obejrzał się i powoli, nieśmiało, przestąpił próg. Na okrągłym stole stała flaszka z koniakiem, szynka, chleb i masło...

— Wypij pan za moje zdrowie.

Spełnił rozkaz. Usiedli za stołem, gwarząc jak dobrzy kolledzy o teatrze, aktorach, aktorkach, zapale do sztuki...

Józio upojony serdecznością i rozumem dziewczyny, nabrał wymowy. Opowiadał o wrażeniach odniesionych z pierwszego pobytu za kulisami i o rozkoszach artystów w chwilach, gdy grają...

— Nic pan jeszcze nie wiesz o ich utrapieniach, lecz tem lepiej dla pana Zadeklamuj.

Chłopiec się zmieszał, zbladł, wargi mu lekko drżały.

— Ja? wobec pani?

— Deklamuj śmiało, co chcesz. Powstań, nabierz w płuca powietrza i zaczynaj. Nikt nas nie słyszy, jesteśmy we dwoje... Proszę!...

Józio pomyślał, odetchnął i zaczął wzruszonym głosem patrząc w oczy dziewczęcia:

„Głosik twój szklanny
„Wyuczył się harmonii od leśnych słowików;
„Oczy twoje, z błękitów całe i z promyków,
„Od gwiazd się nauczyły być tak błękitnemi,
„I tak zawsze, tak prosto zlatywać ku ziemi!
„Pozwól mi głos usłyszeć—i zobaczyć oczy,
„Bo pomyślę, żeś gniewna. Ty drżysz? Nikt nie [wkroczy.“

— Ależ bardzo dobrze—nie sądziłam—wyśmienicie... Teraz coś energicznego. Słucham — i proszę...

Chłopiec nabrał odwagi i zaczął serdecznie, wesoło:

„Jak mi serce zagaśnie, to je znów zapalę
„Przy ogniu twego serca—a jak ogień boski
„W tobie zamrze— wtenczas żadne łzy i troski
„Już nie wrócą...

— Porywasz pan! winszuję i cieszę się. Tylko wiary w siebie i śmiało, — wyciągnęła do niego rękę.

Józio ucałował podaną i skłonił się uszczęśliwiony.

— Trzymajmy się — szczebiotała, zatrzymując w swych rękach dłoń jego – i nie dajmy się... Gdy przyjedzie amantka z Warszawy, nie należy zapominać o starych przyjaciołach, którzy zostają. Brońcie mnie, panowie, w wasze ręce składam moją sławę.

— Przysięgam! — zawołał Józio z ogniem, – nie damy pani skrzywdzić.—Raz jeszcze ucałował rękę artystki i wybiegł.

W bramie podniósł ręce w górę i zawołał głośno:

— Zwycięztwo!

Mknął przez ulicę uszczęśliwiony, promienieją cy, z oczu biły mu ognie, rozmawiał ze sobą, wymachiwał rękami.

Wpadł do Roszkowskiego na górkę, lecz nikogo nie zastał. Na drugiej stronie wczorajszego afisza, napisał ołówkiem wielkiemi literami:

Do panów maturzystów od Ś-tej Anny.

Kolledzy!

Dziś, o szóstej wielka rada — przychodźcie wszyscy, sprawy ważne!

Józef.

Papier przesunął po za kije bilardowe oparte o ścianę. Pobiegł na Grodzką.

W domu czekały na niego Stefa w nowej su kience, słomkowym kapeluszu i matka gotowa do drogi.

— Czekamy pół godziny—gniewała się Stefa.— Babcia się obrazi, ojciec pewno już poszedł, obiad wystygnie.

— Przepraszam mamę, nie mogłem—tłómaczył się.—Chodźmy—chodźmy!...

Na ulicy podał rękę matce, Stefa szła obok niego.

Obie były dumne, jedna z syna, druga z brata. Chciały się nim pochwalić przed całym światem lecz pusto było na ulicy i gorąco.

Przejeżdżała obok nich jednokonka, Józio ją zatrzymał, wsadził kobiety, sam wskoczył na ko zioł, każąc jechać do zwierzynieckiej rogatki. Na połowie drogi dogonili ojca i we czwórkę, uśmiechnieni z zadowolenia przestąpili próg babcinego dworku.

Staruszka zuchowata i wesoła przywitała wnuka wykrzyknikiem.

— Witam pana premianta, a niedługo, co daj Boże, urzędnika.

Urzędnik był w jej przekonaniu najszczytniejszem stanowiskiem, i dlatego darzyła niem wnuka.

Wnuk tulił się do babki, rozradowany.

— Urzędnik, naprzykład sędzia, trzymający w ręku szalę sprawiedliwości, to szczytne zadanie życia, — wygłosił buchhalter zadowolony z siebie i szczęśliwy.

Żona przystojna i zdrowa, dzieci odchowane, on w sile wieku, babka czerstwa i gospodarna — wszystko razem usposabiało go do wymowy wzruszeń serca i przywiązania do życia.

— Gdyby babka wiedziała, że ja mam być komedyantem?—pomyślał Józio—na samą wieść ziemia-by się pod nią rozstąpiła.

Tajemniczość przyszłości bawiła go niezmiernie.

Po obiedzie, na którym babka wystąpiła z kurczętami ze śmietaną i sałatą, zięć ze świekrą zasiedli do maryasza, córka zabrała się do szycia sukni dla matki, Józio ze Stefcią przez ogród dostali się nad staw i tam zaczęli, tratwy z desek i drzewa sznurkami wiązać chcąc po nich przepłynąć na drugą stronę.

Wobec tego ważnego zajęcia maturzysta zapomniał o wielkiej swej przyszłości, o sztuce, kulisach, Mazepie, Otellu, Jagusi i naiwnej — był dzieckiem większem od Stefy. Pracował zawzięcie, wiążąc tratwę, w braku sznurka, powrósłami ukręconemi przez siostrę. Powrósła, moczone w wodzie a robione ze starej słomy, rwały się. Stefa przyniosła gwoździe i młotek, zbito tratwę w okamgnieniu. Uzbrojeni w długie żerdzie odbili od brzegu.

Staw okazał się głębokim, tratew słaba, deski zaczęły trzeszczeć, zbicia rozchodziły się, wiatr popychał statek i wioślarzy na środek stawu. Niebezpieczeństwo zaczęło naprawdę grozić. Stefa płakała i modliła się, Józiowi dusza siadła na ramieniu, a pot kroplami wystąpił na czoło. Pracował jednak zawzięcie, upominając siostrę, aby się nie ruszała.

Wiatr pchnął wodę, tratwę i dwoje na nie dzieci walczących ze śmiercią. Chłopak wiosłował, dziewczątko objąwszy rękami rozbiegającj się deski ściągnęło je ku sobie.

Jeszcze kilka chwil strasznych i męczących — nareszcie Józio zgruntował. Żerdź zanurzyła się w wodzie nie głębiej jak półtora łokcia

— Trzymaj Stefa – szepnął—jeszcze trzy odepchnięcia, dwa, ostatnie—dobili do brzegu.

Naprzód Stefa za nią Józio wyskoczyli na brzeg.

— Uratowałaś mi życie.

— A ty mnie—zawołało dziewczę.

Spojrzeli na siniejący pomarszczony od wiatru staw, jak na grób, z którego uciekli.

— Bardzoś się bał?—szepnęła.

— O ciebie bardzo. Co do mnie miałem nadzieję, że się wyratuję. Przeszliśmy pierwszy chrzest walki na śmierć i życie.

— Prawda—poświadczyła. — Żal mi było mamy, ona cię bardzo kocha.

— A ciebie niby to nie – odezwał się Józio z wymówką.

Stefa pocałowała go w twarz wzruszona.

— Kiedyśmy się wyratowali, nie mówmy o tem—dodała. — Przed nikim ani słowa, pomiętaj—ujęła go pod ramię i wolno oglądając się na ciemne wody odeszli...

Na zegarach miasta uderzyła piąta. Hajnał wygrywany na wieży Maryackiej odbijał się o wody Wisły i leciał na zielone pola. Chłopiec drgnął nerwowo. Zapomniał o stawie, walce z życiem, dzieciństwie swoim—o wszystkiem.

— Muszę być o szóstej u Roszkowskiego — szepnął.

— Wypijesz kawę i polecisz.

— Boję się spóźnić, ważne sprawy.

— Wpadnę do kuchni i pomogę Maryi. Gdybyś uciekł przed kawą, byłoby przykro babci i mamie.

Stefa puściła się galopem do dworku. Józio został sam. Naiwna stanęła mu w myśli. I znowu z dziecka zmienił się odraza w mężczyznę broniącego sławy i talentu kobiety.

Po kawie wymknął się niepostrzeżenie. Dopadł do rogatki, skręcił na planty i przez Szewcką w dwadzieścia minut stanął na rynku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JULIUSZ SŁOWACKI W EGIPCIE.

(27 *Września 1836—2 Stycznia 1837*)

przez

Ferdynanda Hösicka.

(Dalszy ciąg).

Po tym przepysznym opisie wrażenia, jakie na nim zrobiły piramidy—opisie, który wedle trafnego wyrażenia St. Tarnowskiego, ma tę dziwną władzę, że daje nam nieledwie to samo bezpośrednie uczucie, jakiego się doznaje pod wpływem tego widoku, i który zadziwiającą plastyką wyrażenia przyprawia czytelnika o złudzenie, że jest to opowiadanie któregoś z bogaterów *Pana Tadeusza* (albowiem w tych trzech w Egipcie napisanych wierszach *maluje* Słowacki naturę zupełnie na sposób Mickiewiczowski) — następuje niemniej świetnie skreślone opowiadanie o Beduinach, którzy, bronzowi, w białych płaszczach, jak grobowe sępy, ujrzawszy podróżnych, podbiegli do nich, ofiarując się im na przewodników: bez przewodników bowiem nie wolno cudzoziemcom oglądać piramid; powtóre niepodobieństwem jest zapuszczać się samemu do wnętrza grobowców, gdzie znalazłszy się wśród ciemnego labiryntu różnych przechodów, korytarzów i tuneli, w końcu zbłądziłoby się zawsze. Słowacki i Brzozowski, poinformowani o tem, ugodzili się odrazu z czterema fellahami, pod których też przewodnictwem zwiedzili tu wszystko, co było do widzenia. Zaczęto od t. z. komnat królewskich. Oto jak tę część wyprawy opisuje Słowacki:

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzim na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i duszą i ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie: dłonie wzięli [w kleszcze,
Trzeci lazł rakiem, świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał... I w ciemnościach mię gmachu pogrze-
I ślizkiemi kominy, bez schodów i szczebli [bli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść gło-
Obaczywszy się żywym w *komnacie królowej*. [wy,

I dalej, kurytarzem trumnianego ula
Pełznąc, obaczyłem się w sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił...
Sarkofag próżny; ręką uderzyłem,—dzwonił,
Jak rzecz pusta...

Dziwnego doznał Słowacki następnie uczucia po wyjściu z zatęchłych, okopconych lochów na powietrze. Przedewszystkiem wyszedł ztamtąd „jak senny“; a powtóre, błądząc wśród ciemności, o których bez przesady mógł tym razem powiedzieć, że były... egipskie, tak przywykł do nich, że kiedy się ujrzał nagle *en plein air*, zadziwiony był, powiada, i dniem, co świecił biały, i palm zielonością, i złotem oświeceniem piasków, i turkusowym kolorem nieba, a jednocześnie, niewiedzieć na zasadzie jakiej asocyacyi idei, przypomniała mu się Marya Wodzińska, która może w tej chwili — pomyślał sobie — spaceruje pod rękę ze swoim narzeczonym, tak, jak z nim niegdyś chodziła po ogródku w Pâquis. Przypomnienie to zasmuciło poetę, tak, iż „westchnął z głębi piersi... za niczem“ i mimowoli chciało mu się rzec do towarzysza:

Dopóki serce wre miłośnie
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzémiesz.
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat... satyrą!

Ale stłumił w sobie chwilowe uczucie żalu, i, zwróciwszy się do Arabów, zapytał: — którędy się idzie na szczyt piramidy? W odpowiedzi na to,

Pokazali mu lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnej, nie oświeconej promieniami ściany.

A ponieważ nie było czasu do stracenia i trzeba było się śpieszyć, żeby nie znaleźć się na szczycie o zmroku, ale być o ile możności jeszcze przed zachodem słońca z powrotem na dole, pozostawało więc tylko, nie namyślając się długo, znowu „Arabom oddać się ciałem, Bogu duszą“.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał;
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadał,
I podawał mi ręce... I tak szedłem długo:
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy, a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były, jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.

Aż w końcu:

W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

Ze szczytu widok wspaniały, nieporównany. Arabi stali cicho; Brzozowski usiłował jednem spojrzeniem ogarnąć „cztery ściany piramidy spadzistym lecące potokiem“, ale napróżno; Słowacki, usiadłszy na najwyższym głazie, na którym siedząc, doznawał złudzenia, że siedzi na spiętych trzonkach czterech olbrzymich, rozpiętych wachlarzy, wodził wzrokiem dokoła, podziwiając piękność pejzażu w tej chwili, a nadto wsłuchiwał się w majestatyczną prawdziwie, żadnym najmniejszym szmerem niezakłóconą ciszę, która tu panując, pozwalała mu, jak powiada, słyszeć „czas i życie“ t. j. miarowe tykanie zegarka kieszonkowego, i równe, spokojne bicie serca. Potem wyjął notatnik i, oparłszy go na kolanie, zaczął opisywać, co widział.

Spojrzałem na błękit rozciągły:
Świat przybrał *kształty Bogiem widziane:* był krągły.
Zdala Kair. Nil, łąki, daktylowe laski;
Bliżej pustynia, złotem oświecone piaski;
Bliżej trzy drzewa, figa, pod nią cieniu chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik...
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra..
Bliżej dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona, i Sfinksy i grobowce białe:
Ziemia widoczna, wszystko dojrzane, lecz małe.

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Chefrena,
Tak, że orzeł po równej krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu.

Ale—powiada Słowacki, większy jeszcze, aniżeli ten szkarłatny zachód słońca, był widok w jego myśli na wypadki, którym się te piramidy i ten sfinx w ciągu czterdziestu przypatrywały wieków; raz zdało mu się, że „Mojżesz krwią Nil zafarbował i że płynął czerwony wypadków posoką“; że widzi Napoleona, jak rozpoczyna bitwę pod Embabeh, przypominając Francuzom owo słynne *quarante siècles;* a wreszcie, bo i o tem niezapomniał, że oto, stojąc na szczycie tej najwyższej piramidy „depcze to, na czem czas zgrzyta“ [1]). Jednocześnie uprzytomniła mu się w pamięci owa chwila w Rzymie, kiedy, razem z Gajostwem [2]) wyszedł na szczyt kopuły kościoła Świętego Piotra, na który wchodząc, dziwna rzecz, wciąż myślał sobie, że kiedyś jeszcze będzie tak się drapał na piramidy, bo kto wie, czy błąkając się tak ciągle po świecie, i tam nie zabłądzi z czasem... [1]). Ani przypuszczał wtedy, że przeczucie to (a „tajemnicza władza przeczuć“ była zawsze przedmiotem jego rozmyślań) sprawdzi się tak rychło. Tym sposobem — pisał w parę miesięcy później do matki: — „Szczyt Faulhorna, kopuła Św. Piotra, Wezuwiusz, piramidy, były to dla mnie najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, przysiadałem na chwilę, aby odetchnąć“. Po piramidach jednak, przyznawał, choć zachwyciły go, spodziewał się jeszcze czegoś więcej: tak dalece, że pisząc o nich matce, nie zawahał się napisać, iż podobały mu się, iż rad jest z ich oglądania, ale — dodaje—za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła [2]).

Wśród takich i tym podobnych medytacyi zaczął, znów przy pomocy Arabów, schodzić na dół. Słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi, szkarłat jego ciemniał z każdą chwilą, trzeba się więc było śpieszyć, ażeby przed nocą jeszcze przepłynąć Nil i zdążyć na nocleg do wsi poblizkiej, „w Rhamazesa starym grobie...“

Kiedy płynęli Nilem, Słowacki, rozmarzony melancholią zapadającego wieczoru, patrząc na niebieskawe opary, których błędne pasma snuły się teraz nad wodą, otulając, jakby muślinową zasłoną, palmy nadbrzeżne, wsie okoliczne i piramidy, mimowoli przypomniał sobie... jezioro Genewskie i te sielankowe przejażdżki po niem łódką w towarzystwie Maryi; i na samo wspomnienie tych chwil taka spadła mu na serce tęsknota, że po niejakim czasie... wyjął z nanadrza notes i napisał ową smutną i dziwaczną trochę *Pieśń na Nilu,* w której skarży się, że musi „serce kąsać nadaremno“, i w której między innemi powiada:

I jam cierpiał, i jam żył
Jam w letejskich wodach pił;
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
Że śpi teraz, jak łabędzie,
Że mu wszystko jedno będzie... [3])

Nazajutrz powrócono do Kairu. Ale ta jedna noc, „w Rhamazesa starym grobie“ spędzona, nie pozostała bez wpływu na wyobraźnię poety. Historya tego króla i wodza, która w formie legendy krąży aż po dziś dzień pomiędzy ludnością miejscową i którą mu oślarz jego Hanut, opowiadał podczas wieczerzy, przeniosła go odrazu w zamierzchłe wieki, w czasy świetnych wypraw wojennych Rhamzesa, i nie upłynęło kilka dni, kiedy Juliuszowi, jak Fantazemu z „Niepoprawnych“ chodzić zaczęły nagle po głowie... same jakieś światła, które się wkrótce w coraz wyrazistsze przyoblekać zaczęły kształty, aż w końcu wystąpiły przed nim, każde ze swoją twarzą, swoją wonią, zmienione w nimfę, w postać, podobne do owych postaci świętych, malowanych przez wielkiego Wenecyanina. „Skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet nie widziane istoty“, ujrzał teraz Słowacki cały korowód mar—przypominających mu owe figurki hieroglifowe na pomnikach egipskich — a w których poznawał prócz samego Rhamzesa, jego żonę i siostrę, a przy ich boku przyszłego piewcę „Iliady“ i „Odyssei“—Homera, dorodnego młodzieńca podówczas. Za nimi roiło się od wojowników Beduinów, dworzan, murarzy, którym Rhamzes, powróciwszy

[1]) „Beniowski,“ część druga, str. 39, (wydanie drugie lwowskie).

[2]) Zob. J. Słowacki w Rzymie, Neapolu i Sorrento, *Ateneum* 1893, Grudzień.

[1]) Listy I, 237.

[2]) Listy I, 254.

[3]) Zob. Pieśń na Nilu, „Pisma pośm.“ I. 47. Por. z tem zakończenie poematu „W Szwajcaryi“:
„Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi le, i wiem, że źle będzie

z pola bitwy zwycięzkiej, polecił wznieść olbrzymi grobowiec; dalej, niby wspaniałe dekoracye na scenie, widać było wspaniałe pałace i ogrody Rhamzesa: pyszne aleje sfinxów, piramidy, świątynię Typhona, posągi Memnona, wysmukłe obeliski; a wszystko to — w poetyckiej fantazyi Słowackiego — służyć miało za tło tragedyi, jaka się rozgrywała w duszy siostry Rhamazesa. Ta ostatnia, trawiona fatalną miłością, jaką zapłonęła dla greckiego młodziana — poety, który niestety, kochał inną, mianowicie, żonę Rhamazesa... Nie mogąc zostać jego małżonką, postanowiła umrzeć. Brat jej, Rhamazes, wybudował wspaniały grobowiec. W tym grobowcu pragnie być pochowana. Zwierzyła się z tem siostrze, którą prosiła jeszcze, aby jej przy balsamowaniu nie wyjmowano serca, oraz, żeby historyę tej miłości nieszczęsnej wyryto na obelisku. Niczego nadto nie żądała, prócz śmierci lekkiej i bezbolesnej.

Dlatego umarła, jak później Kleopatra, węża przyłożywszy sobie do piersi... Ale nie tu koniec tragedyi, bo sprawiedliwa Nemezis nie mogła nie pomścić śmierci tej egipskiej Julii, a ofiarą tej pomsty miał paść ten, dla którego umarła: Homer. Stało się tak, że Rhamazes, który go, jak Menelaus Parysa, gościnnie podejmował u siebie, dowiedział się o prawdziwej przyczynie samobójstwa swej siostry, a nadto... o romansie swojej żony z urodziwym poetą greckim, który tak niegodnie gościnności jego nadużył... Zabić go? Nie, tego nie mógł uczynić, bo nie godzi się nawet takiego gościa zabijać w swoim domu. Można go jednak osądzić i ukarać. Do tego przysługiwało prawo Rhamazesowi, więc skorzystał zeń i oddał młodego barda pod sąd. Sąd ten odbył się przed statuami Memnona, o zachodzie słońca, i zawyrokował, że słońce to oglądać ma dziś Homer po raz ostatni, zaraz po zachodzie bowiem mają mu być... wyłupione oczy, poczem może sobie wrócić do Grecyi, zkąd przyszedł... Jakoż pozbawiono go wzroku, i odszedł nieszczęśliwy młodzian, zawodząc smutny hymn do słońca, którego już nie ujrzy nigdy, do żórawi, które widział wczoraj na niebie i których mu już nie sądzono ujrzeć powtórnie...

Na tem kończyła się pierwsza część poematu. Druga miała się dziać za naszych czasów, a sądząc z planu, jaki poeta — w Kairze prawdopodobnie—nakreślił [1]), zasadzało się w niej wszystko na idei metampsychozy. Duch młodzieńczego Homera, zamieszkał po trzech tysiącach lat w ciele młodego Araba, Hanuta, (oślarza Słowackiego), którego „miłość dla młodej Arabki, która piersią stłukła zwierciadło czarownika“, miała wypełnić sobą ramy trzech następnych części utworu, aż wreszcie, po długim szeregu „omdleń miłości“, z ktorych się składało całe „życie kochanków“, miało się wszystko zakończyć „śmiercią Araba“. W tych dalszych częściach „Rhadamesa“, które z pierwszą wiązały się bardzo luźno (trudno nawet dostrzedz istotnego pomiędzy niemi związku) obiecywał sobie Słowacki wprowadzić i świat nadprzyrodzony duchów, dyabłów, etc., co by utwór ten uczyniło podobnym trochę do fantastycznych tragedyi Calderona, choć wątpić należy, czy by ta egipsko-arabska fantazya była jednym z piękniejszych liści w poetycznym wieńcu Słowackiego. Zdaje się, że i sam poeta powątpiewał o tem, skoro poprzestał tylko na skreśleniu planu, którego nigdy nie wykonał.

Cóżkolwiekbądź, teraz, po powrocie z Gizeh do Kairu nie miał czasu myśleć o Rhadamesie: Zanadto go absorbowały życie i rzeczywistość. A życie to upływało mu tutaj wesoło, w gronie kilku rodaków [2]), stale przemieszkujących w Kairze.

Od nich też dowiedzieli Słowacki i Brzozowski o braciach Hołyńskich, ktorzy już parę tygodni temu, nie mogąc się ich doczekać, wyruszyli do Memfis i do pierwszej katarakty Nilu. Oni wybierali się tam również, a że czasu do stracenia nie mieli, więc dnia 6-go Listopada, wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy, jak powiada Słowacki, zupełnie byli na ich rozkazy, jak niewolnicy, puścili się Nilem, mając prąd rzeki przeciwko sobie, ku Tebom.

Podróż ta nie należy w ogóle do najbezpieczniejszych ani do najmniej kosztownych. Same przygotowania do niej wymagają nielada trudów i kłopotów; bo, pomijając już, że trzeba wynająć barkę i zawrzeć kontrakt urzędowy w konsulacie z dragomanem, wypada jeszcze zaopatrzyć się w zapasy żywności, ponieważ z Kairem kończy się wszelka cywilizacya, nawet wschodnia: tylko fuzya i wędka mogą dostarczyć w części materyału kuchennego; resztę musi podróżujący mieć z sobą. Ale jest się za to suto wynagrodzonym, zwiedzając te okolice, po za granicą cywilizacyi, któremi wędrując, doznajesz złudzenia, że ci opatrzność pozwoliła oglądać własnemi oczyma... ów raj biblijny, w którym człowiek, zewsząd otoczony światem zwierzęcym i roślinnym, czuł się panem stworzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

[1]) Zob. *Bibl. Warszawska* 1891, IV, 348.
[2]) Listy I, 256.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż sprawa reformy w zakresie oświaty kobiet będzie wkrótce przedstawiona radzie państwa.

— Projekt urządzenia w Petersburgu kobiecych kursów aptekarskich złożonym został w ministeryum oświecenia. Kursa te mają powstać przy jednym ze szpitali miejskich.

— Kwestya dopuszczenia kobiet do warszawskich cechów rzemieślniczych ma być wkrótce podniesioną. Referat przedstawiający warunki pracy kobiet w tym zakresie opracował p. Stefan Białecki.

— P. Augusta Pasierbska otrzymała po odbyciu wymagalnej praktyki stopień podaptekarza, przyznany jej na ostatniem posiedzeniu rady uniwersytetu warszawskiego.

— P. Karolowa Szlenkierowa złożyła na ręce prezesa wydziału wsparć, p. Franciszka Rydzewskiego, 50 rs. na obiady wydawane bezpłatnie w taniej kuchni przy ulicy Drewnianej Nr. 11 ubogim tamtych stron miasta.

— P. Edmund Jankowski pisze w „Ogrodniku Polskim“, iż znaczna liczba kobiet życzy sobie uczyć się ogrodnictwa i poinformowane dokładnie chcą obok hodowli pod szkłem uczyć się układania bukietów, te zaś, które mogą kierować ogrodami wiejskiemi pragną zapoznać się z hodowlą drzew owocowych i warzyw. P. Jankowski widzi w tem chęć dobrą i rozumne pojęcie życia, by mogło oprzeć się o fundament pracy tak w razie, gdy kobieta zostanie samotną, jak i wtedy gdy mężatka i matka rodziny zechce podnieść pracą swoją rodziny tej dobrobyt. Trzeba się przecież w kierunku tym należycie wykształcić, a to stać się może jedynie przy pomocy odpowiednich instytucyi. „Przecież samo nic się nie robi,“—odzywa się p. Jankowski: w artykule „Dla kobiet,“ dodając, iż wobecnym rozwoju społeczeństwa ci muszą dawać pracę swoję i kapitał, którzy z danej instytucyi korzystać mają, i zakończa: „Tyle jest kobiet intelligentnych i szczerze chcących pracować, że powinny się zdobyć na samopomoc Podajemy im tę sprawę do rozwiązania“.

— W Radomiu jedna z pań zawodowo wykształconych zamierza założyć szkołę koszykarstwa i rozpoczęła już potrzebne w tym zakresie kroki, aby zyskać pozwolenie.

— O wiejskie ochrony dla dzieci upominać nam się należy u kobiety, tak pani ze dwora, jak i tej, która pracy poszukuje. W Starej Wsi w powiecie Łukowskim Józefa Kołodziejowa, rozpaliwszy ogień na kominie, wyszła po wodę do studni i zostawiła w izbie dwoje małych dzieci: pięcioletnią dziewczynkę i półtora roku liczącego chłopczyka. Dzieci zbliżyły się do ognia, na chłopcu zapaliła się koszulka, a choć matka, usłyszawszy krzyk rozpaczny, przybiegła coprędzej, dziecko było już ciężko poparzone i umarło na drugi dzień wśród cierpień okrutnych. Taką samą śmiercią straszną zszedł z tego świata w powiecie Nieszawskim Jan Kołodziejski we wsi Bądkowie, i Jędruś Brzozowski, syn parobka w Boguszycach; na przedmieściu Włocławka dwuletnia Zosia Starzyńska, w powiecie włocławskim we wsi Ołgonowie półtora roku licząca Antosia Grześkowianka, oraz Jędruś Figiel we wsi Szczycie w powiecie Kutnowskim; w okolicach kaliskich trzyletnia Joasia, córka włościanina Kanoniaka w powiecie wieluńskim, we wsi Brutasie w tymże powiecie utonęła w rowie czteroletnia Józia Talarowna, oraz czteroletnia Antosia Kępińska we wsi Leonowie, w powiecie Konińskim.

— Z inicyatywy zacnej, tkliwego serca p. M. ma być przedstawiony War. Tow. Dobroczynności projekt otwarcia kilkunastu przytułków dla dzieci pozbawionych opieki w czasie gdy rodzice, szczególniej matki, muszą wydalać się z domu, aby pracować na chleb. Zacna ta pani podejmuje się uzbierać drogą składek potrzebny tu kapitał. Można się spodziewać, że każda, choć trochę uczucia posiadająca, kobieta da tu grosz jakiś.

— W Bawaryi wydano rozporządzenie, aby w fabrykach, gdzie pracują kobiety, znajdowały się obok inspektorów,—inspektorki.

— Marta Remmert, śpiewaczka rodem z Meklenburga, otrzymała złoty medal zasługi od wielkiego księcia na zasadzie nietylko wyższego talentu, ale szlachetnego kierunku, jak mu dała, nigdy bowiem nie chciała występować w operetkach zbyt lekkich, uważając to za naturalne prawo sztuki, aby oddziaływała przez piękno wzniosłe.

— Stowarzyszenie „Przyjaciółek młodych dziewcząt“, zawiązane w Szwajcaryi z celem, aby bony wywożone ztamtąd nie wpadały w siecie złych kobiet, a w każdym wypadku mogły znaleźć radę i opiekę potrzebną, rozszerza się niemal na całą Europę i prawie w każdem wielkiem mieście znajduje się Schronienie Szwajcarek, gdzie każda bona, czy guwernantka, a nawet każda pracująca na życie szwajcarka znajduje schronienie w potrzebie. W Genui stowarzyszenie połączone jest z kantorem stręczenia miejsc. Podobne Sehronienia znajdują się niemal we wszystkich wielkich miastach Europy a nawet i Ameryki wniesione, oraz utrzymywane dobroczynnym groszem zamożniejszych Szwajcarek.

— Związek nauczycielek utworzył się w Bernie niemal z tymsamem, co powyżej, celem. W końcu ubiegłego roku jedna z zostających na obczyźnie Szwajcarek przesłała związkowi na kolendę sto franków w celu poparcia jego działalności, ostrzegając zarazem, aby bez pewnej opieki z ramienia zarządu związku nie puszczały się w strony dalekie. Podobny związek powinien istnieć i dla naszych nauczycielek.

— Wśród ozdobionych przy ostatniem rozdawnictwie krzyżów Legii Honorowej w d. 28 grudnia, mieści się kobieta, alzatka z rodu, Marya Koechlin-Schwartz, żona mera 8-go okręgu Paryża. Znak ten zaszczytny otrzymała ona za poświęcenie się przy zbieraniu z placu boju w czasie wojny z Prusami rannych żołnierzy. Jest ona prezydentką stowarzyszenia, które zawiązało się we Francyi w czasie wspominanej wojny pod nazwą: „Union des femmes de France.“ Obecnie trzydzieści kobiet szczyci się tym orderem szlachetnych, a w tej liczbie jest Ludwika Dodu, która, zajmując urząd telegrafistki w czasie wojny francuzko-pruskiej, nie przesłała nakazanej jej przez nieprzyjaciela depeszy, narażając się na śmierć, ale krzyżując tym sposobem plany szkodliwe dla wojska francuzkiego. Za zasługi na polu sztuki i dobroczynności jest ozdobionych Krzyżem Legii kobiet cztery.

— Amelia Greenfell, angielska ziemianka, zawiązała w dobrach swoich Belhoven klub dla kobiet zgromadzający je wszystkie wieczorami zimowemi w obszernej sali we dworze, gdzie bawią się rozmową, czytaniem dobrych książek i dzienników, a niekiedy słuchaniem muzyki, którą wykonywa M-rs. Greenfell na fortepianie, umieszczonym

w sali tych zebrań. Obok tego M-rs. Greenfell a niekiedy jej sąsiadki miewają tu odczyty z zakresu wychowania, gospodarstwa domowego, obowiązków kobiety w rodzinie. Raz do roku, w wigilią Nowego Roku, odbywa się tu zabawa tańcująca na którą zapraszani są wszyscy gospodarze dóbr Belhaven z rodzinami. Jest tak już lat trzy z ogólnem zadowoleniem stron obu: szlachetnej gospodyni i jej gości.

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC

przez

C. hr. von Wartensleben.

(Dalszy ciąg).

Werpeja, prządka z legendy północnej, przędzie nowonarodzonemu nić przeznaczenia i przytwierdza ją do gwiazdy. Gdy śmierć zbliża się do człowieka, nitka się zrywa, a gwiazda blednie i spada na ziemię. Trzeźwa obserwacya i badanie natury jest najobfitszem źródłem cudów, wprawdzie nie w zwykłem znaczeniu tego wyrazu, cuda te przecież są wspanialsze, niż wszystko cokolwiek fantazya ludzka wymyślećby mogła. Uczy nas ona przeto uważać meteoryty jako ostatnie pozdrowienia świata odległego w przestrzeni i czasie. Nie znaleziono dotąd w meteorytach ani jednego pierwiastku, któregoby nie było na ziemi, a prawa chemiczne, rządzące ciałami ziemskiemi, działały i tam przy połączeniu pierwiastków. Związki odpowiadają tym, które spotykamy na ziemi, zaledwie kilka znalazło się nowych: wykrywają przeto fakt, wiadomy już na innej drodze, a znajdujący tu potwierdzenie, że ciała i prawa chemicznej syntezy ciał nietylko na nowej planecie, ale i na innych się spotykają. Wśród minerałów w mateorytach pojawia się i grafit. Grafit, tak jak i węgiel, znajdowany tu niekiedy, świadczą o przemianie ciał organicznych. Grafit na ziemi uchodzi za ostatni produkt przemiany węgla, a niekiedy, jak w kopalniach pod Briançon, spotykamy na nim odciski roślinne. Ponieważ meteoryty zawierają w sobie z wyjątkiem azotu pierwiastki wytwarzające organizmy ziemskie, nawet węgiel, przypuścić więc możemy, że istoty organiczne, podobne do nas, zamieszkują inne ciała niebieskie niezbyt oddalone. Skład, budowa, uwarstwienie pozwalają przypuszczać, że meteoryty są ułamkami małych ciał niebieskich podobnych z budowy do ziemi, albo jakiegoś drugiego satelity ziemi, który rozprysnął się wskutek ochłodnięcia. Odłamki unoszą się w przestrzeni i spadają na ziemię, dostawszy się w sferę jej przyciągania. Dobiegłszy do atmosfery ziemskiej, rozgrzewają się zewnętrznie przez tarcie do tego stopnia, że świecą. Drobniejsze, których jest większość, zupełnie skonsumowane zostają przez spalenie i pozostawiają tak małe ilości popiołu, że spadek ich zauważyć się już nie da. Ogień ich gaśnie, skoro spalą się w powietrzu—są to spadające gwiazdy. Większe a przez to odporniejsze, które pękają niekiedy w powietrzu z hukiem, spadają na ziemię. Jakkolwiek szybkość kosmiczna zmniejszoną zostaje przez opór atmosfery, to przecież szybkość spadku na ziemię nie pozwala, aby gorąco przetopiło korę aż do wnętrza, ztąd meteoryty mają tylko cienką pokrywę, wnętrze ich pozostaje chłodnem, tak chłodnem, że palce, dotykające odłamu, który tylko co spadł na ziemię, drętwiają od niego—jest to dowód zimna panującego w przestrzeni.

Gdy rozmyślałem nad nietrwałością ciała niebieskiego szybkość, z jaką odbywałem podróż, zaczęła się zwiększać. Przyciągająca siła księżyca wzrastała w miarę jak zbliżaliśmy się do niego. Lot był coraz szybszy. Wreszcie spadłem na księżyc z olbrzymią szybkością. Ciało moje nie stało się nieforemną masą, ale znikło zupełnie. Ponieważ atrakcyjna siła ziemi jest pięć razy silniejszą od takiejże siły księżyca, mógłbym się obawiać powrotu na ziemię, gdybym był miał jeszcze ciało.

Ponieważ zaś ciała nie miałem, nie zadawałem sobie nawet trudu badać: czy zamieniło się ono na proch, czyż też stopiło się, padając na księżyc?

Ostatnie przypuszczenie jest bardziej prawdopodobnem, gdyż według powszechnego prawa, ruch powstrzymany zamienia się w ciepło.

Strata ciała wydała mi się najprzykrzejszą, skoro pomyślałem jak tu pić nektar, gdy się jest pozbawionym cielesnej powłoki; ale jak się wkrótce przekonałem, ciało zupełnie do życia na księżycu przystosowanem nie jest a morza wina szampańskiego i nektaru okazały się wkrótce mrzonkami naszych astronomów; księżyc bowiem nie posiada atmosfery. Opisałem w podróży na księżyc niektóre następstwa, wynikające z tego braku. Gdzie niema atmosfery, nie może być również wody, a więc ani nektaru, ani szampana.

Bez wody nie można znów sobie wyobrazić życia w znaczeniu ziemskiem, skoro każde ciało zwierzęce roślinne, czy ludzkie przeważnie składa się z wody. Oceniając podług wagi np. wynosi ilość wody zawartej w organizmie 76 na 100.

A cóż powiemy o porach roku lub dnia i temperaturze księżyca? Podczas kiedy ziemia obraca się raz w ciągu 365 dni dokoła swej gwiazdy centralnej, słońca; ruch księżyca dokoła jego punktu środkowego, ziemi, trwa $29\frac{1}{2}$ naszych, dni a podczas kiedy ziemia obraca się dokoła swej osi w ciągu 24 godzin, obrót osiowy księżyca trwa równie długo jak ruch jego dokoła ziemi. Jakgdyby przeciągnięty przez punkta środkowe ziemi i księżyca pręt, obraca się księżyc dokoła ziemi i zwraca ku niej zawsze w tę samą stronę.

Żaden ze śmiertelnych nie oglądał dotąd strony księżyca odwróconej od ziemi. Skoro w taki sposób *rewolucya*, a więc obrót księżyca dokoła ziemi równą jest jego *rotacyi*, t. j. ruchowi koło własnej osi, przeto rok księżycowy równy jest z dniem. Podczas kiedy oś ziemska nachylona jest do ekliptyki pod kątem $23\frac{1}{2}$, droga księżyca tworzy bardzo mały kąt z jego osią. Temu wielkiemu kątowi, który wyobraża nachylenie osi ziemi ku ekliptyce przypisać możemy zmiany pór roku, jak obrotowi 24-o godzinnemu koło osi—szybką zmianę światła i ciemności. Rośliny i zwierzęta żyć mogą tylko wobec „zmiany dnia i nocy". Kiedy pod pojęciem dnia rozumiemy okres czasu od jednego do drugiego wschodu słońca, dzień księżycowy trwa od jednego nowiu do drugiego, gdyż w tym czasie dopiero obrócił się księżyc raz koło swej osi. Ponieważ dzień księżycowy równa się $29\frac{1}{2}$ dniom naszym, przeto światło, czyli dzień we właściwem znaczeniu swem, trwa na każdym punkcie księżyca $14\frac{3}{4}$ razy po 24 godziny, a nie mniej długo trwa i noc.

Na ziemi klimat jest niejednakowy, zależy to w części od nachylenia osi ziemi podczas ruchu, w części od pary wodnej, którą przejęta jest atmosfera. Okolice blizkie biegunów otrzymują wiele ciepła przez czas lata. To też na szerokości północnej 60° wznosi się termometr z powyższych powodów, oraz dzięki długości dni w lecie, niekiedy aż do 40°. Nawet w Jakucku, na 62° szerokości północnej, ukazuje się w lipcu upał tropikalny 37°, na 70° szerokości północnej topi się niekiedy smoła na okrętach. Na przylądku północnym wspaniałe rosną szyszki, a nawet na szerokości 80° podróżnicy znajdowali zielone smugi zdobne kwiatami, które rozwinęły się pod palącemi promieniami słońca.

W strefie gorącej, na ziemi dzień i noc, które tam są zawsze prawie jednakowej długości, a noce bywają bardzo chłodne z powodu ulatniającej się znacznej ilości wody, która zabiera z sobą ciepło. Na księżycu przeciwnie: okolice sąsiadujące z biegunami mają słońce nizko nad koryzontem, okolice blizkie równika mają je bezpośrednio nad głową. Lato i zima związane tam są przeto z pewnemi okolicami. Gdy wszystkie z kolei punkta księżyca oświetlało słońce w ciągu $14\frac{3}{4}$ dnia, rozwija się na jego powierzchni niezmierne gorąco. Z promieni słońca, które padają na ziemię, zatrzymuje się w środkowych szerokościach, nawet przy zupełnej pogodzie niemal połowa pod równikiem, gdyż tam jest najgrubsza warstwa powietrza. Zatrzymuje je para wodna, znajdująca się w atmosferze, a pomimo to słońce wysyłające wprost promienie swe posiada energią ciepła, która w ciągu minuty topi lód 5,3 linii grubości. Nie powinno przeto nas dziwić, że na księżycu, gdzie niema atmosfery dla umiarkowania ciepła wśród długiego dnia kiedy widzimy pełnię temperatura dochodzi 200° Réaumura. W takiem gorącu topi się ołów. Brak atmosfery, która utrzymuje na ziemi po części i w nocy ciepło przesłane przez słońce w ciągu dnia, sprawia na księżyca długie noce tworzą przeciwieństwo zimna de upałów, panujących we dnie. Ciepło słońca otrzymane podczas dnia promieniuje niczem nie zatrzymane i p zostawia na księżycu zimno przestrzeni wszechświatowych, koło 146°.

Już sam ten poziom temperatury czyni życie organiczne podobne do ziemskiego niemożebnem. Warunkiem tego życia są granice temperatury wahające się między 0 i 45°. Dolna granica jest punktem zamarzania wody, górna ciepłotą, przy której ścina się białko, substancya zasadnicza wszystkich roślin i zwierząt. Woda morska marznie w ogóle—z pewnemi wahaniami zależnemi od ilości soli—dopiero przy temperaturze 3° poniżej zera. Dla tego też w tej temperaturze spotykamy jeszcze różnorodne życie w głębinach.

Ponieważ wszystkie te warunki: atmosfera, woda, temperatura i ruch kosmiczny ziemi niezbędne są dla organicznego życia ziemskiego nie możemy przeto przypuścić, aby wszystkie ciała niebieskie zamieszkane były przez takież same istoty, jakie zaludniają naszą planetę. Różnorodność przyrody świadczy również przeciw. Wszak nawet na naszej małej planecie, którą wszędzie oblewa ten sam ocean wody i powietrza, życie jest tak różnorodnem i zmienia się zależnie od ilości ciepła i składu powietrza i wody. Ponieważ, jak poucza nas spektroskop, pierwiastki składające ziemię są właściwe nietylko naszemu systemowi słonecznemu: prawdopodobnie wchodzą w skład najodleglejszych nawet gwiazd stałych, wszędzie równie niezawodnie działają te same prawa, przynajmniej zasadnicze: ciążenie, ciepło, światło; nic nie przeczy przypuszczeniu, że życie nadane zostaje wszechświatowi przez akt stworzenia, który oddziaływa dalej w czasie i przestrzeni jako siła konieczna i że życie to rozwija się dalej zgodnie z warunkami panującemi we wszechświecie. A niewyczerpanem w swem różnorodnem działaniu okazuje się wspaniały rozkaz: „Niech się stanie". w najciaśniejszem nawet kole oddziaływujący. Czy znajdujemy w lesie dwa listki, na łące dwa źdźbła trawy, które zupełnie byłyby jednakowej co do kształtu i koloru, albo czy wśród wszystkich ludzi, którzy chodzą po ziemi znajdzie się choć dwóch, którzy zupełnie jednakowo czują i myślą? Czy bogactwo natury nie mogłoby podtrzymywać życia w innych warunkach niż to, od których zależy życie na ziemi?

Nic ziemskiego nie mogłem przecież dopatrzeć na księżycu, może dla tego, że mój wzrok ludzki nie był dość przenikliwym, albo że życie o ile je znam, wygasło, gdy atmosfera i woda nie otaczały planety.

Najbardziej uderzającem na księżycu zjawiskiem jest jego powierzchnia poprzerzynana górami. W stosunku do powierzchni księżyca góry jego znacznie są wyższe od ziemskich. Wysokość góry Chimborazo np. wynosi 6400 metrów. Dhewalagiri 8200 m. wysokość najwyższej z gór dotąd naszych Mount Everest albo Gaurisankar 8,850 m. Ale góry księżycowe dochodzą 6—7 tysięcy metrów, a jeden szczyt, zwany Curtiusem, dochodzi nawet do 8.850 m. wysokości. Ponieważ średnica księżyca wynosi tylko 1,740 km., wysokość Curtiusa stanowi zatem jej dwóchsetną część. Góra, któraby w takim samym do ziemi znalazła się stosunku, musiałaby wznieść się na 63.600 metrów t. j. prawie 9 mil geograficznych, nad powierzchnią morza, a więc być 7 razy wyższą od Gaurisankaru, najwyższej góry na ziemi. Księżyc ma na powierzchni, którą zwrócony jest ku ziemi, przeszło sto gór, których wysokość przenosi 3.500 metrów. Przytem poziom, od którego wysokość się obrachowuje stanowi najbliższe otoczenie góry, niema

bowiem wspólnej powierzchni morza. Przy podobnych obliczeniach na ziemi wysokość okazałaby się prawdopodobnie mniejszą.

Te olbrzymie wyniosłości zawdzięczają swoje powstanie głównie działaniu dawniejszych wulkanów bardzo gwałtownych. Wulkany te otoczone są wałem tworzącym krater wybuchający na wysokości koło 2.000 metrów. Podczas kiedy największy krater na ziemi, Mauna Loa na wyspie Hawai, ma $^2/_5$ mili w przecięciu, spotykamy na księżycu kratery, dochodzące do $17^1/_3$ mil geograficznych średnicy, a więc np. Pleomeder. Ten olbrzym ma przy tem 3.000 metrów w głąb, Do większych kraterów należy *Archimedes*, mający 11 mil geograficzaych w przecięciu. Otaczające go wyniosłości, wystające o 1.300 metrów nad okolicą, nadają mu specyalną piękność przez zmianę światłocienia przy bocznem oświetleniu. Czasem ukazuje się głębina krateru 7.000 metrów i więcej, a więc wysokość przechodząca w znacznym stopniu Chimborazo.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż kommissya, zostająca pod przewodnictwem dyrektora deparmentu lekarskiego, zajmie się obecnie opracowaniem ustawy normalnej dla szkół kucharskich.

— Ministeryum dóbr państwa wniosło do rady państwa nowy projekt utrwalenia i sadzenia zadrzewami wydm piaszczystych i nieużytków na gruntach prywatnych Na ten cel budżet ministeryum wyznaczył 100,000 rs.

— Zreorganizowanie ministeryum rolnictwa rozpocznie działalność swoją w końcu roku bieżącego lub w początkach 1895.

— Wybrana z pomiędzy przemysłowców naszego miasta kommissya, mająca opracować projekt budowy i urządzenia w mieście naszem przytułków dla starych i pracą zmęczonych rzemieślników, już rozpoczęła działalność swoją. Pierwszy z nich wzniesionym będzie na Pradze, złożono już lub zadeklarowano na cel ten przeszło 20.000 rs.; przytułki stanowić będą nowy wydział zakładów dobroczynnych, zostających pod opieką Warszaw. Tow. Dobroczynności.

— Konkurs architektoniczny został rozstrzygnięty większością głosów na zebraniu sędziów konkursowych w Towarzystwie Sztuk Pięknych. Nagrodę pierwszą rs. 600, przyznano p. Edwardowi Goldbergowi za projekt gmachu ratuszowego i za ogół prac wystawionych. Nagrodę drugą 300 rs., otrzymał budowniczy Brauman Franciszek za plany domów, już wykonane. Nagrodę trzecią, rs. 200 wziął p. Stefan Szyller za plan kościoła wiejskiego. Listów pochwalnych przyznano trzy. Pierwszego stopnia otrzymał p. Mikołaj Tołwiński, drugiego p. Józef Mazurkiewicz, trzeciego p. Feliks Nowicki.

— Kosztorys pomnika dla Szopena przedstawia 3.000 rs.; w celu zebrania tej sumy Tow. Muzyczne ma urządzić wielki koncert, do udziału w nim zaproszone będą najpierwsi z pomiędzy muzyków naszych, pomiędzy którymi ma się znajdować Paderewski.

— P. Gomulicki zamieścił w *Ateneum* bardzo zajmujący przyczynek do historyi Warszawy i starych zwyczajów miejskich, pod tytułem „Ulica Gołębia“. Domy przy ulicy Nowomiejskiej są bardzo stare i noszą też wyraźne znamię archaiczności, przecież kilka z pomiędzy nich utraciło je przez niefortunne otynkowanie i umalowanie. Pozbawione są obok tego kamiennego u drzwi obramowania, usunięto z okienek po nad drzwiami fantastyczne ozdoby z kutego żelaza, zniwelowano na murach wypukłe gzymsy, usunięto wszelką ozdobę noszącą znamię starożytne; ciężkie, zamczyste, wzorzystą blachą okute furty zastąpiono drzwiami świeżo pomalowanemi, i to upomnienie się p. Gomulickiego o wandalskie niszczenie starożytnych cech wśród starych ulic miasta, powinno wzbudzić zajęcie się tą rzeczą ludzi dobrej woli. Wina leży tu niewątpliwie nie w złej chęci tylko w nieświadomości tego, co uczyniono.

— Nowe cyboryum wykonane w Warszawie w zakładzie p. Kozłowskiego Michała dla kaplicy Matki Boskiej w Częstochowie jest wyrzeźbione z hebanu, wewnątrz grubo wyłożone złoconem srebrem 84-ty próby. Z jednej strony drzwiczek przedstawiają one Narodzenie Pańskie, z drugiej Ukrzyżowanie, a wprost drzwiczek Wieczerzę Pańską według wzoru Leonarda da Vinci. Sklepienie tworzy unoszący się Duch Święty, na podstawie mieści się symboliczny pelikan, w otoczeniu wieńca z kłosów przedstawiona jest na samych drzwiczkach adoracya Najświętszego Sakramentu z dwoma postaciami: Ś-tej Barbary i Ś go Tomasza. Zewnątrz trzy srebrne płaskorzeźby ujęte są w ramki z liści i gron winnych, stylowe kapitele, narożniki i gzemsy srebrne uzupełniają całość tego dzieła sztuki i kunsztu jubilerskiego, a że srebro odbija się dobrze od hebanu, całość tworzy rzecz artystycznie piękną: Srebra wyszło tu 42 funty, cymboryum znajduje się w Częstochowie, przed wysłaniem oglądał je arcybiskup Popiel.

— W dobrach Kozłówka, należących do hr. Z. znaleziono przy restaurowaniu pałacu skrytkę w murze, a w niej przedmiotów złotych i srebrnych ilość znaczną wartości 20.000 rs. Są tu wazy, puhary, lichtarze nie starożytne przecież, bo według stylu poznać można iż pochodzą z początku bieżącego stulecia. Większość została przeznaczona przez właściciela pałacu na przetopienie, kto przecież je tu złożył? Epoka nie jest o tyle odległą, aby dojść tego nie było można.

— Jan Woydyga, powróciwszy do miasta naszego z wycieczki za granicę, zajął się wykończeniem posagu Żółkowskiego. Model posagu odlany w gipsie znanym jest publiczności naszego miasta z wystawy konkursowej, obecnie wykutym będzie w marmurze 1 ustawionym w *foyer* Wielkiego Teatru. Posąg Królikowskiego, którego twórca będzie zapewne St. Lewandowski odtwarza się po raz drugi. Obecnie artysta ten zajęty jest modelowaniem oblicza zmarłego artysty z maski pośmiertnej.

— Rocznik Krakowskiej Akademii Umiejętności z r. 1892/3 wyszedł świeżo z druku. W ciągu wydawnictwa Akademii pod tytułem: „Biblioteka pisarzów polskich“ wyszły dwa dzieła: „Historya o chwalebnem Zmartwychwstaniu Pańskiem“ w opracowaniu Dr Windakiewicza i Sebastyana Grabowieckiego „Rymy duchowne“ tworzące tom o 200 stronnicach, autora zupełnie dotąd nieznanego. „Historya“ jest jedynym drukowanym u nas textem widowisk pasyjnych, język jest doskonały. Wydawca i opatrzył „Rymy“ wstępem. Oba dzieła pochodzą z XVI-go wieku.

— Rząd bawarski wyznaczył 2.000 franków subwencyi aeronaucie Kochowi na doświadczenia z wynalezioną przez niego maszyną do latania w powietrzu. Są to dwa skrzydła przeszło osiem metrów długie, z przyczepionym w tyle jakoby ogonem trójkątnym, mającym 2,10 metrów długości, 2,40 szerokości przy zakończeniu. Żeglarz powietrzny kładzie się na brzuchu w pewnego rodzaju hamaku i za pomocą pedałów, które porusza nogami i sznurami do rąk przyczepionemi, wprawia w ruch skrzydła i ogon, podobnie jak ptak w locie. Waga całego aparatu wynosi 45 kilogramów.

— Międzynarodowy kongres pracy zgromadzi się w Antwerpii pomiędzy 10 a 15 lipca. Komitet będzie rozsyłał zapytania, dotyczące spraw, które tam rozbierane będą, obok czego skreślił plan podstawowy w 6-iu paragrafach. I). O sposobach rozpowszechniania i popularyzowania komunikacyi telegraficznej. II). O obronie własności literackiej w prasie, o własności informacyi. III). O organizacyi i działalności Towarzystw prasy w różnych krajach, o sposobach porozumiewania się między sobą. IV). O prawodawstwie i pewnych stosunkach prasy w różnych krajach, jako to w sprawie zaprzeczenia, obrazy, dyfamacyi. V). O wzajemnym stosunku przedstawicieli prasy, o godności zawodu. VI). O odpowiedniem uzdolnieniu.

MYŚLI.

— Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić, lecz bez naszej pomocy nie może nas zbawić.

Mickiewicz.

—

— Słowo: stań się... wiecznie z ust Boga wypływa i świat wiecznie Mu odpowiada świeżo rozwijającemi się tworami.

Agassis.

—

— Cel świata uszlachetnienie wszystkiego i wszystkich; ludzi, przyrody.

— Cywilizacya nie pozwala nam zostawiać czegokolwiek przypadkowi, wypadkom, dobrym chęciom, jakoś to będzie... lecz wszystko rozumnie organizuje, szlachetnie porządkując.

— Na nic się nie zdadzą najwznioślejsze ideały, jeżeli nie mamy środków ich urzeczywistnić... A więc zdobądźmy to źródło.

Skarbek.

—

Zapobiegać złemu, nie dopuszczać do złego — mądrość najwyższa.

Skarga.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 11-ty i T. II, ark. 1-szy powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Dwudziestopięcio-lecie pracy literacko-pedagogicznej Henryka Wernica. — **Pogawędka**, przez ?? — **Pierwszy występ** nowella Sewera (dalszy ciąg).—**Juliusz Słowacki w Egipcie**, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).—**Kronika działalności kobiecej.**— **Podróż na księżyc**, przez C. hr. von Wartenslebena (dalszy ciąg).—**Z bieżącej chwili.**—**Myśli.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty i T. II, ark. 1-szy **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon. — Przegląd mód. — 28 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 19 Января 1894 г.